PANNA MALWINA

Los Malwiny związany był z losem owoców. Od rodzaju malin, od ceny gruszek zależały jej pomyślności, nie zaś od woli dziobatego szwagra czy brata — buchaltera.

Zaraz po pogrzebie matki, kiedy pełno jedliny leżało na podłodze i ostatnie lekarstwo zmarłej stało jeszcze przy krucyfiksie, Bohdan powiedział:

— Pakuj się i jedź ze mną. Znajdę ci posadę; w mieście nawet łatwiej utrzymamy ojca...

— A tę chałupę się sprzeda.

Nie odpowiedziała mu. Wyszła na ganek zobaczyć, czy zachód się nie przeciera, bo drzewa blisko tydzień już kwitły bez słońca. Później przyszli sąsiedzi; potem ojciec — pierwszy raz w życiu Malwiny — płakał. A w końcu należało śpieszyć do pociągu... I brat odjechał.

Takie same perswazje powtórzyły się po trzech latach, w dniu chowania ojca. Tylko że teraz Bohdan — od miesiąca zredukowany — milczał, a do sprzedaży namawiał mąż Heli, Michał. Jesień była. Szwagier chodził skurczony, przekręcał i podkręcał knot w lampie, buntował.

— Jakie tu siostra ma wygody? Domisko jak grób, ogród dziczeje, ani światła, ani wody, żadnej kulturalnej rozrywki... Z dobrego serca radzę: sprzedać do diabła.

Malwina nie miała czasu roztrząsać rady: dziecko Heli krzyczało i czajnik kipiał; stróż wołał, że „na strychu myszy słomę pocięły, to czym napychać sienniki?" Nazajutrz wszyscy wyjechali.

Czas — dwa razy zatamowany przez umarłe ciała — rychło wyrównywał bieg. Malwina nie pragnęła odmian. Chciałaby tylko podłogę w kuchni dać nową, bo

deski chodziły jak klawisze i wiele statków stłukło się z tego powodu. Ale za sam materiał Sowa żądał sześćdziesiąt pięć złotych... Więc podłoga dalej musiała próchnieć.

Malwina zresztą mało przebywała w domu. W okresie, kiedy ogród ma liście, pracowała na dworze. Zimą zaś lubiła chodzić po znajomych. Tymczasem ramy okienne paczyły się, a z garnków, widocznie zapominanych na ogniu, kawałami odskakiwała emalia. Za życia ojca takie sprawy mechanicznie usuwało się na bok — do jego kompetencji. Przepalony sagan czy skrzypiące drzwi. Wystarczyło powiedzieć; zepsuta rzecz na czas krótki wychodziła z obiegu, potem wracała odrutowana, naoliwiona — zdatna. Ojciec to lubił; to właśnie był jego udział w życiu. Między piecem a szafą miał kąt, gdzie stała wielka paka blaszana po herbacie Perłowa; w niej trzymał wszystko, co może posłużyć choremu sprzętowi: druty, gwoździe, szpagat, niezliczone kostropate drobiazgi. W razie szkody ojciec wkładał pudermantel, wyjmował z szuflady narzędzia i póty majstrował, aż kaleki przedmiot ozdro- wiał. Matka dbała o schludność... Próbując kilka razy stopą, wchodziła na szczeble drabiny: okurzała, bieliła, wieszała firanki.

Po latach zużyli się pracownicy domowi — Malwi- na została sama z ogrodem, któremu nie można na- starczyć, i z domem za plecami, uciążliwym jak garb.

Wybrała ogród. A raczej: pozostała w ogrodzie. Z domu uczyniła leże zimowe i ognisko.

Aptekarzowa z tej racji mówiła:

— Przykry objaw: ledwie starzy zamknęli oczy, córka od razu chamieje...

Że wymówiła stróżce posługi. Wojtaliki miały zostać, ale bez pensji: izba w przybudówce za dopatrunek owocu, za wodę i za to, że drzewa narąbią.

Malwina, kiedy wpadła na chwilę od czyszczenia malin czy flancowania

truskawek, chciała mieć kąt spokojny. Żeby nikt nie pokazywał jej wtedy dziurawego sitka ani nie prosił się „na rany Jezusa, o worek, bo ścirę pies podarł".

Przywykła szybko do prymusa, do kaszy drewnianą łyżką z garnka, do oddartej oprawy „Starej baśni" zamiast śmietniczki. Nie patrzyła po kątach. Zamiłowana w próchnistej ziemi, bez wstrętu dotykała kurzów i pajęczyn, odór zaś gnojówki zahartował ją na niechlujne zapachy.

Ogród szedł zdrowo. Dołem dziki, górą wyregulowany. Malwina nie miała czasu na estetyczne zabawki: coraz tłumniej pokrzywy docierały w głąb rabat, a perz zagarniał ścieżyny. Niebawem gąszcz kosmaty, piekący utkał każdy luz między drzewami. Goła ziemia zniknęła spod stóp — wszędzie okryło ją zielsko. Tylko maliny i porzeczki, pielone gorliwie, zdawały się wyrastać z gleby. Smolinosy, róże i georginie natomiast unosiły się na fali łodyg, pędów, liści —\ nie wiadomo skąd przybyłe jak ptaki. W części warzywnej tenże system. Marchew, cebula, pomidory — legitymowani obywatele we własnych kwaterach; i, wyjęty spod prawa, tłum włóczęgów — kwiaty.

Rodziną panującą w ogrodzie były drzewa. Im — wspaniałej, dobroczynnej kaście — Malwina najgoręcej służyła. Zwłaszcza sadowi. Bo dąb nad ławeczką, sokory i lipy wyglądały na dusze dynastów zbawionych: nie żądały niczego, żywiąc się już jak gdyby wiecznością. Jesienią, zeskrobując mech na konarach, ucinając niepłodne gałęzie, wiosną — bieląc pnie, Malwina bratała się ze światem przez radosne posługi. Tak jak inni, kiedy są szczęśliwi w miłości.

Z nią razem czekał na owoce Wojtalik. Od czasu gdy gospodyni, po śmierci rodziców, cofnęła mu pensję, nie kopał już i nie orał w ogrodzie; koń został sprzedany, w piecach pani paliła sama, nawóz zwozili od sąsiada, parkanu nikt nie naprawiał, nikt też nie posyłał do miasta. Stróż był człowiek robotny, więc bez wstrętu chodził na dniówki. Izbę, którą dostał za stróżowanie, mógłby gdzie indziej mieć lepszą: kiepsko ogacone ściany i grzyb w podłodze — niewielkie objawienie. Ale prawie nie było w miasteczku sadów przy domach, Wojtalik zaś lubił drzewa.

W okresie truskawek, malin czy — później — renklodów albo letnich jabłek Malwina, przy pogodzie, sypiała na dworze. Jeżeli ktoś odwiedził ją wtenczas o zmroku, rozbijał się często o żelazne łóżko, rozstawione na ścieżce i prawie niewidoczne spod nawisłych tytoniów. To niezwykłe posłanie przywodziło na myśl katastrofy żywiołowe: pożar, rozbój, w każdym razie — nędzę. Jednak na nim właśnie Malwina zażywała pańskości.

Zamknąwszy dom, przychodziła omotana w swetry, ciasno na krzyż związana chustą, w szaliku na głowie. Zegnała się i wpełzała pod koc. Wojtalik, stróżujący z Cezarem, z daleka okrążał miejsce snu gospodyni; gdy zaś niejasne jakie pogłosy zmuszały go do kroczenia w tę stronę, już na skręcie alejki chrząkał i ka- słał mocno. Za to Cezar — choć niemniej szacunkiem przejęty — kilkakroć w ciągu nocy budził Malwinę. Mokry od ros, tętniący, nieważki, napotykał w pędzie roślinne i zwierzęce wyziewy, które — jak siatki — oblepiały nozdrza. Rozrywał je sobą: nie przypominały niczego. Zdarzało się przecież w tych woniach włókno znajome: zapach pani. Pies wtedy przerażał się zimna i obcości — bez tchu wskakiwał na skulone pod derą ciało. Malwina przywykła do tych wstrząsów: obchodziły ją tyle, co pasażera drugiej klasy tumult w sąsiednim trzeciaku — natychmiast zasypiała znowu.

Na stokach ogrodu, zagrzebany w sianie, Wojtalik także chrapał. Tylko z wieczora i o świcie przemierzał sad. Bo właściwie nie było w mieście odważnych, wytrwałych złodziejów.

Tak więc spoczynek Malwiny rzadko zakłócali ludzie. Czasem dokuczało zimno, czasem zwierzęta. Najczęściej wszakże otwierała oczy z gotową od razu świadomością, że dzieją się ważne rzeczy. Rzeczy, które można odczuć w gwiaździstej godzinie, zanim po dniu wolno je będzie spieniężyć.

Łóżko trzeszczało ku zgrozie żab i kretów: gospodyni wychylała się w coraz inną stronę nocy. Najbliżej — poziomki miesięczne (żeby nie ropuchy, co dzień byłaby pełna misa); z wieczora — twarde guziki, rano — krople nieruchome z nadmiaru słodyczy. Za kukurydzą — truskawczarnia. Nawet trzeciorocz- ne „sharplessy" — jak ciepła wilgoć nocna okryje ich wypieczone policzki — napełniają

się sokiem. Maliny — cierpkie, choć bujne — w mroku zapachom odbierają cukrowość: o świcie tryskać będą czerwonym ulepem. Malwina rosła od myśli, że to ona jest główną sprawczynią doskonałych smaków, panią tylu pożytków. Saletry, komposty wdzięcznie wracały na pamięć, a trudy ogrodnicze wynikały ze wspomnień jako najszczęśliwszy dosyt.

Naciągała koc. Razem z chłodem przedwschodnim szerzyły się szelesty i trzaski. Ścierpnięte ptaki zmieniały drzewa, tłumy drobniutkich stworzeń przemykały w trawie, mrowiąc się jak płomienie. Nie wszystkie odgłosy można było zrozumieć: trafiały się tak znikome jak oddech dziecka. Malwina je słyszała i one to — choć niezrozumiałe — najlepiej dawały odczuć swojskość roślinnych tajemnic. Na krzywym łóżku po- lowym siostra buchaltera panowała najcichszym sprawom sadu.

Panowała także najgłośniejszym. Zdarzało się bowiem, choć rzadko, że Stasiek albo Michał zmylili drogę po nocy i, zamiast śliwek, obrywali niedojrzałe renety kromselskie albo zupełnie zielone bojkiny. Jeżeli Wojtalik przyłapał synów na takim draństwie, wrzeszczał i bił lagą skulone plecy:

— Wieprzu, przez nijakiego pojęcial Zielone ćpać będziesz? Taki owoc marnuje... To po to się drzewo trudzi, żebyś, bydlaku, zielone rwał?l

Malwina nadchodziła, z kocem na plecach. Lubiła bardzo krzyczeć na chłopaków, obstawać za swoim dobrem, wyznaczać ciężkie kary. Cały dzień następny miała jędrny od poczucia własności.

A Wojtalik odymał się na panią tylko wtenczas, gdy sama nakryła łakomców — i to przy owocu dojrzałym.

Dom niszczał z każdym miesiącem. W słotne noce Malwina niewiele lepszej doznawała osłony, niż gdyby łóżko zostawało na ścieżce. Nie można było na- starczyć statków pod zacieki i dudniły strugi po tych miednicach — jak z rynny. Stróż po dobrawoli nieraz łatał gonty; trafiało się, że we trzech z synami siedzieli dwie i więcej godzin na dachu... Ale przy najbliższym deszczu znowu lało do

wnętrza.

Okna żadnego nie można było domknąć, taka próchnica. Wszędzie pełno szczelin, zatkanych szmatami, pełno jakichś burych kłębów i nieokreślonych użytecznych kawałków — jak w dziupli.

Krewni nie przyjeżdżali do Malwiny. Gdzie by ich nocowała? na czym by zastawiła jedzenie? Wszystkiego zostało dwa płytkie talerze i jeden mały szczerbaty, kiedyś wymalowany przez matkę. Malwina jednak — sama dla siebie — postanowiła coś niecoś zaradzić domowi.

Nastała bardzo piękna jesień. Sad obrodził ponad zwykłą miarę i ceny nie były dobre. Ale kupiec żelazny, Mistig, akurat wtenczas stracił nadzieję na ajenturę loterii klasycznej. Jego potężna klientka, która zdawała się losy państwa przerzucać na ministerialnym biurku mężowskim, nie znalazła — wśród ważnych wyroków — koncesji dla Mistiga. Postanowił zatem gdzie indziej szukać swego szczęścia: dostawiać do Warszawy zimowe owoce. Chodził po właścicielach i proponował. Malwinę fakt ten napełnił otuchą: skończy się ździerstwo dyktatora miejscowego rynku, Abramka. Zrazu odmówiła kupcowi. Drżącymi rękami zaczęła rozkładać na kost.ropatych podłogach landsberskie, kromselskie i złote renety. Im później, tym będą droższe... Jakoż dopiero przed Wszystkimi Świętymi, kiedy Mistig otarł się o nią w aptece, zagabnęła z niechcenia:

— Jak by tam pan kupiec żądał jeszcze owocu, to ja mam teraz trochę...

Parę dni trwały targi, Producentka i przekupień grali ze sobą jak mężowie stanu. Wśród przeszpiegów, zwłok i fałszywych ostentacji — interes w końcu dojrzał. Malwina z żalem stwierdziła któregoś wieczora, że nie ma już o co rokować: pieniądze leżały na stole, a owoce w koszach. Nazajutrz — podniecona — przywołała Abramka; po godzinie użerań spuściła mu węgierki, które do stycznia miały konserwować się w ziemi.

Lubiła handlować z Żydami: cenili każde dobro. Patrząc na ich oczy, latające po berach i sztetynach, jaśniała pychą. Słuchając namiętnych głosów, jak

charczą i pieją, wytężone ku jej towarowi, czuła się panią niemniej niż przy karceniu złodzieja. Żydzi, wyzionąwszy ostatnią cenę, toczyli z palców pieniądze jak krew. Potem — w worki, w kosze — zgarniali owoce. I szli… Szli, nie wracali, aż znowu w porze, gdy bogactwa — napęczniałe o gwiaździstych nocach — wolno było, o targowym dniu, sprzedać.

Z naddatku słodkiej jesieni Malwina zakupiła karły, które zaraz w drugim roku miały rodzić półkilowe gruszki. Gdy one ostatecznie zasilą kieszeń — dom podźwignięty zostanie z ruiny. Tak postanowiono.

Zima — po październikowych skwarach — zmyliła widać drogę. Nastał czas jałowy — jakaś próżnia między pogodami. Ni ciepło, ni zimno; bratki i nasturcje, tagiety, róże nawet trwały — pomięte i czarniawe.

A na jednej gałęzi jabłkowej mrowiły się niewyraźne pąki; może na liście, może i na kwiaty. W pierwszych dniach grudnia przyszedł mróz. Bez śniegu; od razu gruchnął o ziemię, ciężki jak żelazo.

Malwina czym prędzej słomą otuliła karły i zaczęła odwiedzać znajomych.

W aptece palili bez rachuby; przebywała tam chętnie, choć nie zawsze mogła sprostać rozmowom. Apte- karzowa opowiadała długie historie o osobach, których nikt nie znał, aptekarz rzadko sam co odmierzył czy zamieszał — mieli pannę. Za to — o ile nie grał w pokera — lubił politykę: urągał ministrom i wymyślał na Żydów, że demoralizują naród. Malwina kiwała głową, myśląc o czym innym. Co jej było do Żydów, kiedy towar sprzedany.

’ U Walentyny siadywała z prawdziwą przyjemnością. Zimowe klientki zachowywały się zrozumiałej niż letnie. Zdjąwszy suknie, dłońmi i ramionami zasłaniały biust; ich relacje dotyczyły ludzi dobrze wiadomych.

— Józefową mąż znowu pobił… Tarłowscy się kłócą o spadek… U Franciszków jest małe dziecko…

Dziewczęta kręciły się, maszyny terkotały, Walentyna kreśliła kredą na wełnach i jedwabiach. Z samego ruchu kilkunastu ciał tyle się sączyło ciepła, że kilka drewek w piecu starczało na dobę.

Nie zawsze jednak cudze domy bywały dostępne. Czasem Malwina zastawała je próżne, czasem tak pełne, że dla niej brakowało miejsca. Wpadała wtenczas do sklepiczarek, do czytelni, na nieszpór... Taki pobyt musiał trwać krótko.

Więc wracała do siebie, zbierając po drodze wiórki, które dzieci rozwłóczyły z tartaku. Przed żółtą szybą Wojtalików, na pół zasłoniętą fuksjami, przyśpieszała kroku. Nie pójdzie przecież grzać się u własnego stróża.

Chrustu nie brakowało w sadzie; suszyła go po wszystkich kątach mieszkania. Ale w kuchni przerdzewiała rura od dymnika, drzwiczki od większego pieca obluzowały się całkiem, a wszędzie — ruszta były na nic. Malwina gotowała na prymusie herbatę, po czym kładła się do łóżka z głową omotaną chustkami. Nie czytała, bo w ręce zimno. A zresztą!... A zresztą, cóż ją mogły obchodzić zamorskie czasy? Ludzie, których nie ma?... Po brodę tonęła w pierzynach.

Jeżeli nazajutrz przy obudzeniu czuła ciepło w sobie — wstawała. Odprawiwszy najniezbędniejsze czynności ranne, wydobywała z ojcowskiej blaszanki duże i małe pudełka: następowała selekcja. Nasiona jak ptasie pazury; nasiona jak szczoteczki; nasiona jak strzały... Rozdzielała, nadpisywała drżącym ołówkowym pismem.

Jeśli wszakże o świcie stopy były zgrabiałe, a z twarzy ział chłód, Malwina nieraz do zmierzchu zalegała posłanie. Od czasu do czasu spod pierzyny wysuwała się dłoń w dziurawej rękawiczce i ukradkiem chwytała chleb z kiełbasą albo garść suszonych śliwek — popas zastawiony przy łóżku. Chwilę falowały kraty na wsypce i znowu martwość kładła się po izbie. Osnuta nikłym oparem własnego ciała, przywalona pierzem i wełną, gospodyni zażywała zimowego snu jak wiele innych samic.

Ale kiedy nie spała, myśli jej były ludzkie. Wspominała dzieciństwo, później dwie niezdarzone miłości, zasypane tysiącami bezpłciowych dni; różne sprawy rodzinne i sąsiedzkie. Wszystkie te zdarzenia rosły albo kończyły się w domu. On je — szczęśliwe — jak cieplarnia hodował i — nieszczęsne — wieńczył jak grób. Malwina pojęła jego nieodzowność, zatęskniła do niego. W ogrodniczym szałasie — do mocnego domu.

W styczniu odwilgło. Znowu masa wody ciekła w wielu miejscach z pułapu, nasiona zamokły, pierzyną trzeba było wynieść do Wojtalików, żeby tam przeschła. Jednak Malwina wesoło uśmierzała kląski, naciągnęła buty ojca i człapała po glinie. Z powietrza bowiem znikł żelazny przymus, odprężyła się, nagięta ku ziemi, śmierć.

Za to w lutym Malwina odmroziła ręce i nogi. Spuchnięta, jęcząca, nie przyzywała Chrystusa: wśród polarnych udręk jego przetowłosa postać zdawała się obca.

Właśnie po tej zimie, która Malwinę nauczyła, jaki ważny jest dom, okazało się, że środków na remont — nie będzie.

Grusze zmarzły. Renklody zmarzły. Karły — oczywiście — zmarzły.

Gospodyni chodziła i łamała gałęzie. Czarne... bardzo chrupkie i czarne...

Zakwitły tylko jabłonie; ale i one byle prędzej, drobniutko. Pogoda była piękna. Ogromne zawilce, bogate sasanki okryły jałowiznę. Brzozy trzęsły bez końca nasienie, podobne do malusieńkich ptaszków. Ruda i płowa mąka nosiła się obłokiem między osiczyną.

Sad trwał w czerni.

Malwina znosiła ten ból. Odpisała nawet siostrze: „Jakoś to będzie: truskawki zapowiadają się dobrze". Jednak aż w niej huczało z gniewu — przede wszystkim — na drzewa. Pnie.stały niebielone; nie okopywała jabłonek i nie żywiła

gnojówką. Mściła się na nich — za współudział w zdradzie. Któregoś dnia przyniosła piłkę — zaczęła rżnąć umarłe grusze. Wojtalik zastał ją przy robocie. Złapawszy się za twarz, krzyknął:

— Panil Co robicie? Panil Dyć te drzewa som żywe, oni jeszcze odejdą...

Malwina mocniej nacisnęła piłkę. Spocona, odparła ponuro:

— Żywe. No, to niech zdechnął Kiedy są żywe...

Wojtalik długo stękał, aż go przepędziła:

— Czego stoicie? Cuda tu robię czy jak?

Cofnął się rakiem do ścieżki. Potem kopnął Cezara i cały wieczór miał oko zmącone: coś się święciło kiepskiego.

Ludzie nie bardzo lubili Malwinę. A przecież, kiedy w maju nie można jej było spotkać w klasztorze, dokąd od tylu lat znosiła bzy na ołtarze, urzędniczkom z poczty zrobiło się przykro. Złapały Abramka.

— Co słychać z panną Malwiną?

Skrzywił się.

— Co słychać? Mnie się zdaje, że tu niedługo wcale o niej słychać nie będzie...

Więcej nic nie chciał mówić, choć panny szły za nim aż pod aptekę.

Malwina —· ze swoich gór — prawie teraz nie zaglądała do miasta. Siedziała w domu. Zaczęła raptem szyć jakieś spłowiałe spódnice, cerować pończochy... Obieliła pokój. Wyciągnęła z komody, pachnącą myszami, firankę i zawiesiła ją krzywo nad oknem. Do ogrodu chodziła tylko rwać na sprzedaż truskawki. Wojtalikowa nosiła je na rynek i za otrzymane pieniądze przynosiła, co trzeba.

Noce również pani spędzała pod dachem.

Zła była. Krocząc przez podwórko, tak ostro patrzyła na każdego: chłopaki nie śmiały tknąć jagód nawet w deszcz. Zdawało się, że ona lepiej jeszcze pilnuje teraz, kiedy jej w sadzie nie widać.

Któregoś wieczora przyszła Walentyna Krajewska i aptekarzostwo. Użalali się. Głośno mieszali herbatę w nie domytych szklankach. Musieli ciągle gadać, a po to przecież tutaj dążyli, żeby Malwina wyjaśniła, co myśli, co zrobi... Wreszcie magister zapadł w medytację. Niebawem rzekł:

— No, a nie sprzedałaby pani? Nie?

Malwina rzuciła na stół łyżeczkę. Błysnąwszy oczami, czerwona, zawołała chrypliwie:

— Nie? Kto panu powiedział, że nie? A pewno, że bym sprzedała tę nędzęll

Wszystkim zrobiło się ciepło. Aptekarzostwo spojrzeli po sobie, jak gdyby ze szczęśliwym zdumieniem, Krajewska — przeciwnie — ściskając w garści szalik, jęknęła:

— Moja biedna Malwinol

Magister przysunął się z krzesłem...

— No, to ja pani pomogę!

Wkrótce odeszli, a gospodyni do późna przewracała w szufladach.

Minęło ze dwa tygodnie. Całe miasto gadało, że „Malwina sprzedaje majątek".

Trudno było coś od niej usłyszeć. Owszem, kupowała znowu sama masło i jaja na targu, zachodziła do kooperatywy po naftę. Ale nikt nie miał śmiałości

zapytać — Malwina bardzo zdumniała. Na głowie nosiła teraz jakiś zawój z siatkowej koronki, wchodząc do sklepu składała parasolkę na długiej kościanej rączce. Raz wędliniarka zebrała odwagę i rzekła:

—< Jakże interesa, panno Malwino? Bo owocu będzie mało, ale ceny dobre, to się pani odbije; prawda?

Malwina ruszyła brwiami.

— Nic się, moja pani, nie będę odbijać. Dosyć mam łachmaniarstwal Siostra wciąż pisze... No, to sprzedam, wyjadę i koniec.

Otworzyła parasolkę i szumiąc spódnicami zeszła powoli na targ. Faktorzy zaczepiali Malwinę. Dostawali krótką odprawę, bo aptekarz zastrzegł sobie pierwszeństwo.

Wreszcie pod koniec czerwca — we czwartek — Wojtalikowa przybiegła do Krajewskiej po swoją panią.

— Pan aptekarz je na górze z jakimś obcym i kazali powiedzieć.

Walentyna pożegnała przyjaciółkę. Całowały się długo.

Do Malwiny można było iść albo spory kawałek drogą, albo — króciutko — przez ogród i przez dziurę w płocie; posesje bowiem, tyłami sąsiednie, wychodziły frontem na dość odległe ulice. Wojtalikowej pani kazała lecieć do sklepu po cukier; sama zaś przelazła wśród ruchomych desek i stanęła zdyszana we własnym warzywniku. Niechęć podnosiła się w niej sina, ciężka jak rtęć w termometrze. Poczuła Malwina, że jej gorąco i że nie lubi rozmawiać z obcymi.

Koło pomidorów przystanęła. Co powie? Co trzeba będzie powiedzieć? Forsownie przypominała sobie warunki sprzedaży, ustalone z magistrem. Tyle gotówką, tyle wekslami. Żyro ma być solidne, rejent na koszt kupującego. Hipotekę ma czystą... Zamknęła oczy. Chyba już teraz pośpieszy... Przyłożyła

dłonie do policzków. Lepiej zaczekać chwilę — wyglądała jak upiór.

Zaczęła obłamywać pędy na pomidorach. „Żeby więcej soków szło w owoce". Pomyślała tak i serce skurczyło się przy tej myśli. Bóg wie, kto to będzie zbierał te jarzyny... Znowu dotknęła twarzy. Pali... Mało tego: ręce czarne od soku i czuć je z daleka pomidorową naciął Czy jest w domu ocet? (Tylko od octu puszczą farbę). Czy jest ocet? Tchu brakuje... Nie, nie ma octu.

Malwina — zgnębiona — wącha dłonie i drepce w miejscu rozpaczliwie. Nagle nawiedza ją — widać — jakiś zbawczy pomysł, bo jak nieprzytomna podrywa się i przez zagony pędzi bokami sadu do przybudówki. Mijając dom, widzi na ganku dwóch panów... Przyśpiesza kroku. Już jest u Wojtalikówl Stróż, siorbając głośno, pije herbatę z kubka.

— Wojtalik, idźcie no tam do mnie.

Gospodyni łapie dech.

—, Idźcie, powiedzcie panu aptekarzowi, że mnie u Krajewskiej nie było...

Chłop odstawia kubek, wyciera wąsy rękawem, ociąga się.

— To, że niby jak mam powiedzieć?

Pani objaśnia, czarną dłonią przyciskając piersi.

— Że ja... że nie wiadomo, gdzie jestem.

Wojtalik wychodzi, Malwina siada na brzeżku skrzyni.

Zaraz zrobił się wieczór. Zanim jeszcze stróż wrócił, jakaś gwiazda zatrzepotała w oknie. Gospodyni patrzyła na nią, to znów na swoje ręce. Nie mogła przecież taka brudna pokazać się obcemul Za skarby świata nie mogła.

Prawie jednocześnie wrócili Wojtalik i jego żona. Dozorca zameldował:

—· Ano, rzekłem, to i poszli sobie.

Wojtalikowa spod chustki wyjęła cukier. Potem złożyła na kolanach Malwiny drugą jeszcze — maleńką — torebkę.

—· Siarka. Zostało mi parę groszy, myślę sobie: we- znę. Bo na tej róży przy ganku znowu listki są pozwijane.

Malwina uradowała się bardzo sprawunkom. Chwyciła je tak skwapliwie jak człowiek, który po trzęsieniu ziemi wraca do swego domu i zastaje ulubione sprzęty na wiadomych miejscach. Tymczasem Stasiek z wolna otworzył drzwi ze dworu, zajrzał i cofnął się... Zapachniało nikotianą i chlewem.

Gospodyni ruszyła ze skrzyni... W progu stanęła. Patrząc na trzepoty gwiazd, przykazała stróżowi:

— Trzeba wynieść łóżko; będę dzisiaj nocowała w ogrodzie.